

Odpowiedź na ankietę redakcji „Tekstów Drugich”

Anna Nasiłowska

przede wszystkim: 1) szersze omówienie kilku autorów, którzy, jak Gombrowicz, Schulz i Witkacy, znaleźli się w programie nauczania, 2) poszerzenie – kosztem analiz dzieł autorów dotychczas „uprzywilejowanych” – szkiców o pisarzach, których do niedawna program pomijał a cenzura tłamsiła (Lechoń, Wierzyński, Miłosz, ale także i Słonimski), 3) nowe rozdziały o twórczości Jerzego Lieberta, literaturze z lat I wojny światowej (m. in. poezja żołniersko-legionowa) i o twórczości satyrycznej międzywojnia, wreszcie 4) w rozdziale o przemianach w literaturze światowej – nowe spojrzenie na literaturę rosyjską w ZSRR i na emigracji.

Pierwsze zmienione wydanie tego podręcznika rozeszło się, o ile wiem, błyskawicznie. Latem 1994 ukazało się następne. Jak się rozchodzi – jeszcze w tej chwili nie wiem. Nie jestem już „monopolistą”. Są i inne opracowania. Każda szkoła i każdy nauczyciel może wybrać to, które woli. „No i bardzo dobrze” – jak mawia Tadeusz Konwicki. Współpraca z WSiP-em układała mi się zawsze doskonale. W tej chwili nie wyobrażam sobie, by mogła być lepsza.

Gdy chodzi o nowe zamierzenia: jeden z wydawców prywatnych zamówił u mnie niewielką antologię wierszy polskich poetów na użytek uczniów wyższych klas szkoły podstawowej. Jeszcze nie wiem, czy uda mi się ją dobrze zrobić. To jest dla mnie zupełnie nowe doświadczenie. Sugestie programowe MEN wydają mi się niekiedy zaskakujące. Moje doświadczenie uczy jednak, że należy odnosić się do nich z dystansem, tym bardziej, że czasem ulegają zmianom szybszym niż praca nad podręcznikiem czy antologią.

Wrzesień, 1994

Anna Nasiłowska
Odpowiedź na ankietę
redakcji „Tekstów Drugich”

Moja książka¹ w planach wydawców i organizatorów serii nie ma być podręcznikiem, lecz popularną wizją historii literatury, odpowiadającą zmianom i przewartościowaniom, jakie zaszły

¹ *Trzydziestolecie 1914–1944*, w serii *Mala historia literatury polskiej*, oczekuje na wydanie w PWN.

w ostatnich latach. Pisząc syntezę tego typu czułam się mało komfortowo z kilku powodów. Po pierwsze, taka książka zmusza do posługiwania się fikcją, jaką jest opowiadanie jako jednolitej historii tego, co wcale nie jest ciągle. Po drugie, opowiadający musi pełnić w niej rolę narratora wszechwiedzącego, a jego margines swobody stylistycznej jest węższy niż przy pisaniu jakiegokolwiek innej pracy humanistycznej. Zawsze najbardziej lubiłam owe literackie marginesy, tu zaś zostałam poddana surowym rygorom dotyczącym proporcji stron poświęcanych poszczególnym dziełom, a moja inwencja miała dotyczyć wyłącznie jasności wyводу i „przezroczystości” narracji. Po trzecie — przewartościowania ostatnich lat nie są aż tak wielkie i głębokie, jakby się wydawało. Od wielu lat w pracach szczegółowych pisano dość rzetelnie o wielu zjawiskach, tyle że nie zawsze dochodziło to do poziomu syntez, zwłaszcza tych przeznaczonych dla szerszej publiczności. Absurdem byłoby przecież twierdzić, że do 1989 roku w historii literatury obowiązywał kanon, dyktowany przez ideologię komunistyczną. Tak nie było, choć oczywiście, gdy uwzględni się sumę nowych ujęć i zjawisk dopiero docenionych i dostrzeżonych, to okazuje się, że synteza jako całość zawiera bardzo istotne przesunięcia interpretacyjne.

Tu jednak pojawia się istotny kłopot — tego, co w książce nie jest oczywiste, a więc moich decyzji i wyborów, nie mogłam szczegółowo uzasadnić, wyglądają więc one na kroki całkowicie arbitralne, czy zgoła nieodpowiedzialne szaleństwa. Dlaczego na przykład nie wyrzucam Leona Kruczkowskiego z jego *Kordianem i chamem*, choć to powieść podrzędna, a właściwie — kuriozum? A dlatego, że jeśli się ją, i kilka innych tego typu faktów, wymaże z pamięci i obrazu dwudziestolecia międzywojennego, to wszystko, co działo się w literaturze polskiej po 1945 roku, wygląda na efekt zarazy przyniesionej ze Wschodu. Napisanej przeze mnie syntezie powinna towarzyszyć mniej więcej dwa razy grubsza książka wyjaśniająca, że wiem, co robię, i że nie przypadkiem ustaliłam sobie ramy czasowe trochę inne niż zwykle, bo 1914–1944. Wyszło więc „trzydziestolecie”, z którym mam trochę kłopotu, wiem, tę właśnie decyzję krytykować będą recenzenci. Choć książka nie opuściła jeszcze wydawnictwa, spotkałam się już z zarzutem, że jeśli uważam 1939 rok za cezurę mniej ważną niż 1944, to znaczy, że po prostu mam nieczyste intencje i jeśli sama świadomie nie szargam świętości narodowych, to wyraźnie pro-

wokuję czytelnika. Dla innych natomiast nie do zaakceptowania będzie rok 1914, jeśli nie z takich samych powodów (przecież w 1918 roku Polska odzyskała niepodległość!), to z innych. Ja jednak uważam, że ustalenie cezury w 1918 roku powoduje wyraźne niedoceniecie dwóch dość poważnych zjawisk: ścisłej kontynuacji między twórczością Staffa i Kasprowicza w latach I wojny a poezją Skamandra oraz nie pozwala docenić rangi przemyśleń związanych ze zjawiskiem wojny, jakie już wtedy pojawiają się w literaturze polskiej. To nie było takie proste, że wybucha niepodległość, wszyscy są szczęśliwi i zaczynają nowe życie. Między 1914 a 1945 przez ziemię polskie przetoczyły się nie dwie, a trzy wojny, a ta polsko-sowiecka nie była niepoważnym konfliktem bez większego znaczenia. Wydaje mi się, że to ostatnie przeświadczenie zawdzięczam nie tyle historykom literatury, co mojej ciotecznej Babce, która mawiała, że udało jej się przeżyć trzy wojny i chyba nic jej w życiu już nie zadziwi. Trzy wojny i jedna krucha niepodległość! To jest doświadczenie pewnego pokolenia, zawarte w datach 1914–1944 i w określeniu „trzydziestolecie”. Wcale nie mam ochoty deprecjonować „dwudziestolecia”, jest to pewna kategoria czytelna na płaszczyźnie historyczno-społeczno-obyczajowej i pozbywanie się jej z historii literatury byłoby po prostu nierozsądne. Tyle że nawet małe poszerzenie tych ram bardzo zmienia obraz i mocno go dramatyzuje. Przyznaję się też od razu, że znana mi literatura teoretyczna na temat na przykład zagadnienia przełomów literackich, które powinniśmy w tym miejscu zacząć dyskusować, wydaje mi się nieco zmurszała, pochodzi bowiem z czasów niewzruszonej wiary w słuszność historycystycznego myślenia. Dlatego w postmodernistycznych czasach wolę już powoływać się na autorytet mojej ciotecznej Babki. I tak mam więcej szczęścia niż koledzy zajmujący się odleglejszymi epokami jak barok czy oświecenie, którzy nie mają szans by spotkać świadków epoki.

Mam jednak więcej kłopotów innego rodzaju: wynikających właśnie z niezwykle gwałtownych przewartościowań języka dyskusji publicznej, jakie zaszły w ostatnich latach i nie zostały pogłębione w toku poważnej refleksji. Często nieświadomie reagujemy alergicznie na pewne ujęcia i problemy, łącząc je z komunistyczną przeszłością. Trzeba zdawać sobie sprawę, że jednym z najpoważniejszych zagadnień, jakie stawia przed sobą proza realistyczno-obyczajowa w dwudziestoleciu międzywojennym, jest zbadanie konfliktów społecznych.

Brak równości budził wtedy protest — dziś protest budzi samo określenie „równość”. W toku prac redakcyjnych dopisano mi olówkiem „...wobec prawa”, gdyż jest to obecnie jedyny przypadek nie obciążonego negatywnie użycia tego terminu. Tymczasem nie o prawo tu chodzi, ale na przykład o to, że jeśli ktoś urodził się jako nieślubna córka kucharki (jak Justyna Bogutówna), to jego los jest mocno zeterminowany pochodzeniem i niewiele pomogą osobiste zalety charakteru, uroda i intelekt. Samo nazywanie wprost klas społecznych budzi w tej chwili opór — na przykład środowisko drobnomieszczańskie trzcba określać jakoś inaczej, nie wprost, by omijać złe skojarzenia związane z mocno nacechowanym określeniem. A co sądzą Państwo na przykład o takim cytaciku: „Niesprawiedliwy jest u nas podział mienia między obywateli. Jednym się przelewa, a innym na życie nie starcza”. Skąd to (jak pisywał Kisiel — kotku...)? Kruczkowski? Nie. Ponieważ sama nie cierpię, jak mi się zadaje podobne zagadki, odpowiem od razu — to z *Obrony Ksantypy* Ludwika Hieronima Morstina. Morstin, znawca antyku, a przy tym dobry polski szlachcic, właściciel Pławowic napisał to w 1939 roku, zdanie wypowiada w dramacie główna bohaterka, a chodzi o pewnego rodzaju krytykę demokracji ateńskiej, która nie obejmuje kobiet. Mężczyźni uczują, baby pracują — myśl trochę nawet feministyczna, a trochę rzucona w zabawie, by dawny ideał zobaczyć inaczej. Przyznajmy jednak, że w tej chwili zdanko brzmi „wrednie”, nagle stało się „kompromitujące” i stanowczo nie nadaje się do powtarzania.

Cała sprawa jest na tyle poważna, że zasługiwałaby na szersze rozwinięcie. Problem dotyczy nie tylko lewicy nie komunistycznej, ale sposobu traktowania demokracji i tradycji. W tym miejscu mogę jedynie to zasygnalizować. Współczesny punkt widzenia nie jest obiektywny, wszelkie wybory są mocno uwikłane w założenia, których nie zawsze jesteśmy w pełni świadomi, a tempo zmian i zupełnie nowe określenie opozycji rządzących myśleniem politycznym potęgują dezorientację. Tego można dowieść posługując się konkretnymi przykładami z dwudziestolecia międzywojennego. Kilka lat spędzonych w towarzystwie myśli i autorów z innej epoki mocno mnie uwrażliwiły na mielizny współczesnego myślenia. Mam wrażenie, że wtedy dyskutowano poważniej, bardziej zasadniczo i na wyższym poziomie, gdy my pozostajemy pod wpływem urazów, dajemy się kierować nowym schematom, jakie powstały z prostego odwrócenia pewnych wartości.

Rozpad komunizmu spowodował ogromne zamieszanie w sferze języka dyskursu publicznego, powstały wręcz nowe obszary „tabu”, które trzeba omijać. Do tej pory nie ukształtowało się właściwie myślenie kategoriami demokracji, pełno jest pojęć zmistyfikowanych, a inne – zostały pospiesznie wykluczone z użycia, skazane na przebywanie w „czyścicu”. Powoduje to nie tylko niewygodę, gdy trzeba w dziwnych momentach drapać się prawą ręką za lewym uchem. W ten sposób powstają istotne przesunięcia merytoryczne.

Oczywiście, można by tego częściowo unikać. Trochę więcej uwagi poświęcić awangardzie, nowościom formalnym, nie przejmować się tak Żeromskim, Nałkowską, a zwłaszcza Dąbrowską, bo się zestarzała, a nawet stała się – podejrzana politycznie. Ale właśnie dlatego, czy ściślej: przeciw temu ja pisałam. I to jest mój arbitralny wybór.

Jan Tomkowski
Odpowiedź na ankietę
redakcji „Tekstów Drugich”

Kiedy ukazała się moja *Literatura polska*, pytano mnie najczęściej, skąd wziął się pomysł tej dziwnej książki. Moim zdaniem, dziwne było raczej pytanie.

Jeszcze dziwniejsze – obawy niektórych dziennikarzy i recenzentów co do spustoszeń, jakie miałem rzekomo poczynić, tworząc obraz naszego rodzimego piśmiennictwa. Ja sam czułem się dosyć dziwnie, słysząc głosy, że zamordowałem znakomitych twórców w rodzaju Leona Kruczkowskiego, Wandy Wasilewskiej i Jalu Kurka. Czułem się dziwnie, ale nie powiem, że czułem się źle. Zwłaszcza, że mogłem wreszcie ukazywać się na ekranie telewizyjnym w towarzystwie pięknych kobiet i pudrowano mi nos. Za tę cenę gotów byłem popełnić wymienione wyżej przestępstwa.

Publikowanie podręczników w PRL było bowiem dotychczas sprawą polityczną. Już nawet nie ministerstwo oświaty, ale władza znacznie wyższego szczebla ustalała odgórnie, czy uczniowie i studenci dowiedzą się czegoś na temat Gombrowicza albo Miłosza. Nie jestem pewien, czy decydowało o tym Biuro Polityczne, czy Wydział Kultury KC. W każdym razie nie wyobrażam sobie, by autor syntezy histo-